№ 7. 16. Lutego 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITTERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Pobitna pod Rzeszowem.

Powieść z czasów konfederacji barskiéj podług podań ludu i równoczesnych rękopisów.

ułożona przez

Szczęsnego M . . . . . .

I.

Wesele.

Co to za wesele,
Co go tylko dwa dni;
Żeby było cały tydzień
To by było ładniej.

Rzeszów miasto nad Wisłokiem brzmiało godowemi dzwięki.— Wychodziły one z domu zdawien dawna Opatówką zwanego, gdzie wedle podania ludzi przed niepamiętnemi czasy jakieś opactwo być miało.— Czy to podanie prawdziwe, nie śmiem twierdzić, to jednak pewna, że wielka izba tego domu tak była obszerna, iżby na śmiało mogła być jadalnią największego opactwa.— Sklepiona sień, krzyż nad odrzwiami, wielkie dwa schody kamienne u wnijścia, równie jak ogromny kaflowy piec i w ołów oprawne szyby w oknie, zdawały się stwierdzać podanie.— Obecnie była tam miodowa arenda, pod godłem owiec i wilków zgodnie z jednego naczynia jedzących.— Najlepsze dereniaki, maliniaki i wiśniaki w dębowych antałach zapełniały głębokie suche piwnice i służyły ku rozradowaniu wesołych a pocieszeniu utrapionych obywateli miasta.—

Otóż w téj „Opatówce" odprawiało się wesele obywatela Miszczańskiego, starszego syna świętej pamięci Miszczańskiego, cechmistrza rzeźnickiego z córką kuśnierza zamożnego, który dla dworu starosty czudeckiego równie jak dla xiążąt Lubomirskich tak na Rzeszowie jak i Kolbuszowej delie i tułuby robił.—

Starosta weselny był starszy cechmistrz nad cechmistrzami — a cechmistrz tkacki.— Człowiek poważny, rosły, z siwym obwisłym wąsem i wygadany zwyczajnie jak każden kupiec. Trzeba bowiem wiedzieć, że on półsetkami płócien kupczył, i nieraz miał ich tyle na składzie, iżby swojem płótnem mógł drogę do Babicy, gdzie wielkie blichy na Wisłoku miał, mimo dwumilowej przestrzeni wysłać.— Starościną była obywatelka Standyłka, cechmistrzowa rzeźnicka, a wielce poważana kuma starszego cechmistrza.—

Między drużbami, czyli młodzianami był Bartłomiej Murski, rzeźnik młody na ożenieniu, a między drużkami Jagusia Luderzanka, córka młynarza miejskiego na Strugu pod Powietną.

Łabudy z Głogowa grali.— A wiecie wy kto to te Łabudy z Głogowa?— Jest to rodzina na mil kilkanaście w około z muzycznego daru słynąca.— Idąc za wrodzoną sobie skłonnością, szyją latem obuwie dla pracowitych obywateli miejskich i wiejskich, i pilnują sadow wydzierzawionych przez siebie. Skoro zaś obiorą śliwy, otrzęsą jabłka i otłuką orzechy, zostawiają sprzedaż owoców żonom, dzieciom i niewistkom, sami zaś rzuciwszy kopyta pod komin, kręcą strony z jelit baranich dobrze wyszlamowanych, smarują smyki żywicą przetapianą w łupce z jaja, klarnety oliwą, a gardła miodem, i z wesela na wesele rzną od ucha swoją sztukę, żeby się i kulawy na ławie nieosiedział.— Bywało ich zwykle sześciu Łabudów i stary Mendel, żyd, kuśnierz, nierozdzielny ich towarzysz.

Trzech rznęło na skrzypcach, dwóch na klarnetach, a stary Łabuda basował, aż się ziemia trzęsła.— Instrumenta ich były powiększej części swojskiej roboty, mianowicie basy starego Łabudy, i

cymbały Mendla, który kiedy puścił dwie kościane pałeczki po swojej lutni, to i organista klasztoru cudownej matki Boskiej bernadyńskiej rzeszowskiej, którego godzinki i nieszpory w Leżajsku nawet słynęły, nie mógł się nasłuchać i napodziwiać.—

Skrzypce miewali gdańskie, zwykle z umysłu w kawałki tłuczone, a potem znowu sklejane dla poprawienia głosu. — Owoż ci Łabudy grali na weselu obywatela Miszczańskiego.

Starszy cechmistrz jako starosta z panną młodą, a za nim pan młody z starościną, rozpoczęli taniec polski stateczny i powolny.— Panna młoda w rospuszczonych włosach i białym rańtuchu muślinowym, starosta w długiej siwej kapocie, pas złoty, potężną trzcinę srebrem kutą i siwą czapę baranią z białemi wstążkami w ręku;— starościna w złotolitym kornecie, axamitną taśmą pod brodę przewiązanym, w koralach przepysznych, niebieskiej spodnicy w mak i piwonie, w wiśniowym w bławat gorsecie a blado seledynowej pokrzywkowej przyjaciółce, przewieszonej z białym królikiem, i w różyczki haft. Za niemi drużbowie i drużki, a między niemi Bartłomiej Murski i Jagusia Luderzanka, a dalej sławetni obywatele miasta Rzeszowa,— wszyscy zarówno ubrani w niebieskie albo zielone kapoty, zrobione jak Bóg przykazał i swięty obyczaj: po kostki, z tyłu po trzy fałdy z każdej strony, z prostym złożonym kołnierzem, z kłapciami ; jedwabną taśmą suto wyszywano na piersiach, na plecach, koło kieszeni przez ramiona i łokcie, a frazelkę niżej stanu.—

W ręku lub na głowach mieli potężne czapki z siwego baranka wgroszek, wstążkami sciągane z axamitnym w talar ujętym wierzchem.— Pasy lite albo jedwabne; u rzeźników zaś trzosy niepróżne bo się tymfy i talary wytłaczały.

Kobiety szły na korkach w pokrzywkowych lub jedwabnych gorsetach, spodnicach i przyjaciółkach o wiszących rękawach, wszystko barwno i kwiecisto.— Na głowach błyszczące kornety albo muślinowe chustki zmyślnie w fątaż z przodu wiązane; na szyi korale z krzyżem.—

Zwolna i statecznie obeszli izbę do koła raz i drugi, kłaniając się gościom, muzyce i sobie na wzajem jak Bóg przykazał i święty obyczaj.— Poźniej zwracali się w prawo albo w lewo, tworzyli bramy i sklepienia z podniesionych ramion po pod które przechodzili; i odbijali sobie tanecznice.— Wszystko statecznie i poważnie, zwyczajnie jak przy rozpoczęciu weselnej uroczystości.— Kiedy sobie już pochodzili „powoli lecz do woli“ zawołał starosta: posuwistego! i poszli mazurka czyli nieskończonego, raźniej jak polskiego, jednakowo nie tak skoczno jak dzisiaj.— W końcu stanął starosta przed muzyką i zaspiewał:

„Tańcowałby drużba,
Ale ciasna izba;
Kieby piec wyjeni
Byłoby przestrzeni“

i zawróciwszy odprowadził swoją tanecznicę na miejsce, a wszyscy za jego przykładem poszli. —

Niebawem odezwała się znowu muzyka, i zagrała krakowiaczka aż się wszyscy święci w niebie roześmieli.— Przewodził młody mieszczan szewskiego wyznania z swoją kumeczką młodą, znaną zaczepnicą.— Jak zwykle zaczął:

A jak ja se pojdę
Krakowiaczka w nogi
Aż polecą pasy z butów
A trzaski z podłogi.—

I nuż dalej w koło, aż wiatrem zawiało.— Za jego przykładem poszła kuma jego, i zaspiewała śmiejąc się do Bartłomieja:

Powiadają ludzie
I cóż im to szkodzi,
Że nasz pan Bartłomiej
Do Jadzi zachodzi.—

Za chwilę znowu stanęła, i patrząc się na zarumienionych zaspiewała:

Na rzeszowskim błoniu
Ptaszkowie spiewają,
O waszem kochaniu
Już ludzie gadają.—

Bartomiejowi się ani śniło spiewać. — Bo od czasu kiedy Jagusię pierwszy raz widział i pokochał na litanji w kaplicy cudownej matki boskiej, nigdy mu się taką ładną nie wydawała, jak dziś. Nie mógł oka oderwać od niej i od kwiatów wciemnych włosach, i od świeżego rumieńca i wstydliwie spuszczonej powieki.— Ale zaczepiony tak jawnie, i widząc, że zaczepce końca nie będzie,

zawrócił naprzód, stanął przy muzyce i zaśpiewał pokręcając wąsika:

A juści a juści,
Bóg nas nie opuści,
Kiedyś-wa se młodzi
Kochać nam się godzi,—

a po chwili dodał:

Świeci miesiąc, świeci,
A gwiazdeczki w koło —
Gdzie moja Jagusia
Wszędzie mi wesoło,—

klasnął w dłonie i tupając serdecznie zawrócił kilka razy to w prawo to w lewo tak szybko, że następne pary ledwo zdążyć mogły.—

Wszystkich oczy zwróciły się na niego, bo wylazło szydło z worka i pokazało się co się święci.— Zaczęło się sprawdzać przysłowie, że na weselach wesela się zawiązują.— Wszyscy goście o tem tylko mówili, a matka Jagusi siedząc obok swojego małżonka Wawrzyńca Ludery, młynarza na Strugu, widziała w duchu córkę swoją żoną Bartłomieja Murskiego, obywatelką rzeszowską, panią cechmistrzową w złotym kornecie i srebrnym sygnetem na palcu, jak ją wszyscy majstrowie i majstrowe w ręce całowali.

Po ukończonym krakowiaku pan starosta stanął na środku izby, i pochwaliwszy poważnie zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa stuknął laską o ziemię, i nakazał milczenie.—

Potem drużbowie posłali na środku izby kobierzec, i wystawili kilka stołków, przy których stanęli rodzice panny młodej, matka i opiekun pana młodego.— Państwo młodzi prowadzeni przez drużbów stanęli w kole, a starosta zaczął napomniawszy gości do uciszenia się:

„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony! Dziś korona panieńska zakwitła w kawalerskich rękach, przyozdobiona rószczkami rucianemi.- - Lecz wprzód nim będzie triumfować w wspaniałym akcie kościoła bożego, niech prosi od ojca i matki błogosławieństwa.—

Państwo młodzi wiwat!—

Przystąp ojcze do córki i ty matko miła, by swą głowę panieńską przed wami schyliła.—

Teraz wy państwo młodzi padnijcie pod rodzicielskie nogi, stopy całujcie i za wychowanie, za pielęgnowanie dziękujcie.— Ach korono panieńska, ty kwiecie różowy, uwiniona panieńskie przyozdabiać głowy; kiedyć Bóg przeznaczył czyli niebo samo, niech kwiatem twej wonności rozkwita im serce. Tego wam winszujemy z gronem tego państwa.— Teraz do kościoła bożego zabierać się trzeba, tam co przysiężecie dochować potrzeba; miłość, wiarę, uczciwość, wszelkie powinności, zostając z sobą w tym stanie bez wszelkiej złości.— Co wam daj Boże byście w zgodzie żyli, a po tem życiu się z Bogiem na wieki cieszyli.—

Wiwat państwo młodzi!—
Wiwat niech kapela
Całe weselne grono rozwesela!—

Drużbowie podnieśli państwa młodych, którzy płacząc rodzicom stopy całowali, a zato błogosławieństwo od nich odbierali.— Starosta wziął podane sobie kropidło, umaczał w święconej wodzie, i kropił wychodzącą wśród hucznej muzyki godową drużynę,— i na chwilę ucichło na Opatówce.—

Na ślub prócz mnóstwa ciekawego mieszczaństwa, zbiegli się także dworzanie zamku rzeszowskiego, a między niemi i Grzegorz, naturalny syn pana włodarza Żyłowskiego, którego zwykle „Grzesiem“ zwano.—

Znany to był zawadya i ludzie się go bali; miał może lat 23, a już był opilcem.— Przyłączył się nieproszony do weselnego grona, i pokrzykując przyszedł z niem na Opactwo gdzie się, niezwłocznie tańce znowu rozpoczęły.—

W tańcu ubliżając starszym osobom, odbijał pierwszą parę i nieproszony przewodził weselu; zdawało mu się bowiem, że jako dworzanin zamkowy, choć znienawidzony, zawsze łaskę mieszczuchom wyświadcza obrażając ich swą gburowatością.

Jeżeli obecność Grzesia niemiłą była wielom, była Bartłomiejowi wprost nieznośną, bo się mu ciągle koło Jagusi kręcił, chociaż go ona widocznie unikała. Nieśmiano mu nic powiedzieć, bo ojciec jego, pan Żyłoski, miał u księżnej nieograniczoną wiarę, i sprawiedliwości na niego nie było.

Matka pana młodego, widząc niemiłe wrażenie jakie Grzesio sprawiał na gościach, zawołała go

na bok, i zaprosiła na maliniak, aby go oderwać od Jagusi. — Grzesio wierzący w osłodę życia nie wzgardził zaprosinami; pił maliniak i przekąsał białe pierniczki suche, a w izbie powoli dawna wesołość wróciła.

Na domiar zabawy przyszło oczekiwane małżeństwo obywateli Węgrzynków.

Byli ci Węgrzynkowie, a mianowicie pani Węgrzynkowa ulubionemi i koniecznemi gośćmi każdego porządnego wesela, gdyż nikt jak oni niepotrafił zabawić towarzystwa. — Zaraz na wstępie przywitano ich głośnemi okrzykami i wiwatem muzyki, na które ukłonami odpowiedzieli. — Starosta i państwo młodzi robili im wymówki z przyczyny spoźnienia się, a wysłuchawszy uniewinnienia prosili o wypicie zdrowia państwa młodych. — Wypili państwo Węgrzynkowie i pobłogosławili, poczem ich proszono siedzieć.

Co tam siedzieć, zawołała wesoła pani Węgrzynkowa, do siedzenia trzeba picia i jedzenia, hej muzyko co to spicie?

Muzyka zagrała, a Węgrzynkowa wzięła młodego, jej mąż panną młodę i poszli posuwistego. — Pani Węgrzynkowa nie była z Rzeszowa rodem, tylko gdzieś aż z za Lwowa, i dla tego prócz zwykłych polskich tańców umiała kozaczka tańcować. — Wiedzieli to ludzie, i ktoś muzykantom podszepnął, aby kozaczka zagrali. — Muzyka zagrała, szewc Łukasz także niepospolity tanecznik wyskoczył w przysiudach, goście się rozstąpili w koło, a pani Węgrzynkowa ująwszy zgrabnie oburącz fioletową w żółte pasy spodniczkę, biegała zykzakiem to wprzód to wtył, stósownie do skoków swego tancerza i śpiewała sobie:

A ja sobie od krzaczka do krzaczka do krzaczka,
Tańcowała kozaczka kozaczka kozaczka.

A Łukasz klaszcząc w dłonie skakał w koło niej, wykrzykiwał i śpiewał po polsku kozaczki, jak np.

Jedzie kozak z Ukrainy podkówkami krzesze,
Za nim za nim jasnobrewa złote włosy czesze.

I nuż w przysiudy, że się obywatele rzeszowscy, którym się podobny taniec bardzo śmiesznym wydał, aż za boki brali. — Radości było bez końca. Zanosiło się na wesele jak rzadko. — Ale djabeł nie śpi.

Grzesio wypiwszy miód, wrócił między tańcujących a najpierwszym skutkiem było, że obywatelka Węgrzynkowa niemogąca go znieść, ustała kozaczka tańczyć, ku wielkiej markotności wszystkich. — Zaczęła zatem krakowiaka. — Grzesio ogląda się za Jagusią, ale ona widząc to, pobiegła do Bartłomieja stojącego w zamyśleniu, szepnęła mu żeby ją od Grzesia wybawił, i poszła z nim w taniec. — Grzesio się zczerwienił, ale nic nie odrzekł, wziął pierwszą lepszą mieszczkę i tańcował. — Pierwszy kto stanął przed muzyką był Bartłomiej. — Gniewliwym okiem rzucając na Grzesia śpiewał:

Na zamkowym stawie pływają karasie,
Od mojej dziewczyny wszystkim durniom zasie. —

Grzesio zagryzł wargi i chcąc się pomścić zaczął spiewać na rzeźników nazywając ich kolibykami. —

Jeszcze niedokończył kiedy z boku dostał szturkańca pod ziobro tak potężnego, że się aż zgiął. — Sprawcą tego szturkańca był młodszy brat pana młodego — Marcin Miszczyński, uczeń szkół ojców Pijarów, chłop sążnisty i pod wąsem. — Zasłoniony kobietami tak zręcznie go wykonał, że Grzesio niewiedząc kogo się czepić, wolał zamilczeć i tylko poglądał po rzeźnikach, chcąc z twarzy sprawcę poznać a w oczach mu się łzy kręciły. — Niepoznawszy zabrał i wyniósł się powoli. —

Lecz zemstę zaprzysiągł rzeźnikom.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STUDENCI.

(Ciąg dalszy.)

Gdyśmy szli do śniadania przez dziedziniec, zeszedł się z nami p. Schleicher, który często bywał w naszym domu, i dla przyjemnej powierzchowności swojej bardzo bywał mile przyjmowany.

Podczas śniadania p. Schleicher wyprowadził mego ojca do drugiego pokoju i długo coś z nim rozmawiał. Tymczasem p. Achille z jedną z sióstr moich, z którą jawny miał stosunek miłosny, i czego ani się Jadwisia nie wypierała, ani on nie ukrywał, a czemu nawet rodzice moi sprzyjali, rozmawiał w jednym kącie, a pan Maurycy z drugą siostrą Zosią, Józiem i panną Right w jedną grupę zebrani, zostawali w innym kącie razem.

Ja przystąpiłem do nich i słyszałem, że mówili o panu Achille. Panny nie znajdywały w nim wiele upodobania i zarzucały mu dziwactwo; zawsze, mówiły, jakiś ponury, zamyślony, zapomina się aż do niegrzeczności; czasem wejdzie do pokoju, gdzie wszyscy zgromadzeni, nie ukłoni się nikomu i leci prosto do Jadwisi.

Ja nie pojmuję, co ta Jadwisia w nim znalazła i co to za miłość, mówiła Zosia; ja nie wiém nawet, — ona mi sama mówiła, że Achille ledwie ją za rękę ściśnie, a niedopiero żeby pocałował.

Nareszcie nudziarz, ludzie mówią że on takiświatły, że to poeta, że to wielki człowiek, dodała panna Right, a on jeszcze nam ani jednego wiersza niepowiedział, nawet w grach niema dowcipu; a przecież p. de la Laiterie ciągle powtarza: „c'est un homme d'esprit.” Czasem kiedy się wszyscy bawią, on chodzi wzdłuż pokoju sam jeden pomiędzy ludzi i nieprzemówi ani słowa; czasem, odkąd jest poufalszy z Jadwisią, weźmie ją pod rękę i chodzi z nią, potém ją zostawi w środku pokoju a sam odbiega.

W ogólności mówiła dalej Zosia, on dla innych daleko grzeczniejszy i uprzejmiejszy niż dla Jadwsi, ja jéj to mówiłam, ale z nią nie ma co mówić, ona w nim do szaleństwa zakochana, i mówi że to właśnie dowód, że ją p. Achille szczérze kocha.

Józio tymczasem wpadał w mowę wychwalając szlachetność i oświatę p. Achille, jego wymowę, a w zapale zaczął głośno opowiadać rozmaite zajścia, które z nim miał; jednak p. Maurycy przerwał mu: „Cicho! zapominasz się Józiu.” — „Wszakże przed temi paniami niepotrzebujemy robić tajemnicy” odparł Józio.

„Nawet przed samym sobą,” rzekł na to p. Maurycy. Józio więc przestał, a panny dalej mówiły o p. Achille i dziwnéj miłości Jadwisi z nim; gdy Jadwisia przystąpiła do nas, ony umilkły, a Jadwisia rzekła:

Tak jestem niespokojna, że nie mogę wam opisać mojego wzruszenia. Tam p. Schleicher coś długo z tatkiem rozmawiał, potem zawołali Achilla i cicho coś szeptali.

„Bo też ten Schleicher niewiedzieć po co tu bywa,” rzekł Józio.

Ja wiem co pan masz za podejrzenie na niego, odparła Jadwisia, ale to nie słusznie: on pewnie chce pomódz Achillowi i ostrzega go; ja tylko się boję, że będziemy musieli się rozłączyć.

Jadwisia zgadła, bo w skutku przyjacielskiej przestrogi p. Schleichera, jeszcze tego samego dnia wieczór p. Achille po niezmiernie bolesném pożegnaniu z Jadwisią i z nami, wyjechał. Nikt w domu nie wiedział dokąd, tylko Jadwisi dla uspokojenia powiedziano, że niedaleko będzie bawił, i ułożyli pisywać do siebie.

Takim sposobem w domu naszym zostały dwie siostry w głębokiej pogrążone tęsknocie, Jadwisia i Zenia. Jadwisia pisywała i odbierała listy od p. Achille, i tak znajdywała ulgę w swéj tęsknocie. Listonoszem między niemi był stary leśniczy, wierny sługa domu naszego, który w odległym od wsi i w odludnym miejscu wśród lasu miał mieszkanie. Tam, jak się póżniej dowiedziałem, urządzone było mieszkanie dla p. Achille. P. Achille grał rolę leśniczego, a właściwy leśniczy jego pomocnika; bo p. Achille musiał się ukrywać przed czujném okiem rządu. Jadwisia wiedziała o tém, ale nikt więcej prócz rodziców i starego leśniczego. Stało się to za poradą p. Schleichera, który zaraz tejże samej nocy zjechał z rewizją do naszego domu i przeszukawszy wszystkie kąty, przyaresztował ku naszemu wielkiemu zadziwieniu ogrodniczka, utrzymując, że to jest zamaskowany zbieg polityczny. P. Schleicher doskonale znał wszystkich ludzi naszego domu, a więc wiedział także, że nasz ogrodniczek nie jest bynajmniej politykiem. Najjawniejszy tego dowód dał nam uwięziony przez to, że przyznał się do jakiejś kradzieży, o którą go nikt nie posądzał, a którą on uważał za przyczynę swego uwięzienia. P. Schleicher odwiózł więźnia i zrobił sprawozdanie, że prócz tego człowieka, który mu się nader podejrzanym wydaje, nieznaszedł u nas nikogo.

Tak pozbawieni w krótkim czasie dwóch uczestników naszego towarzystwa, zmieniliśmy dotychczasowy tryb życia naszego, bo Jadwisia znosiła swój los z rezygnacją wprawdzie, ale stroniła od towarzystwa naszego, wyjąwszy pannę Right i Józia, który przez uwielbienie jakie okazywał dla pana Achille, był jej bardzo miłym.

Zenia prawie ciągle cierpiąca, niewychodziła do ogrodu, a my młodsi z p. Lonicerą przy niej wieczory spędzali. Ja byłem pośrednikiem między chorym Jasiem a Zenią przez całe trzy tygodnie choroby Jasia. Zenia posełała mu przezemnie pomarańcze, karmelki, książki i obrazki; a on dla niéj wycinał bardzo zręcznie różne rzeczy z papieru, przepisywał dla niéj nóty, kolorował wzorki do haftu. Przed rodzicami Jasia zasłużyłem sobie przezto na nowe względy, bo nie domyślali się, że te rzeczy pochodzą od wielemożnej panny, tylko wszystkie te grzeczności mnie samemu przypisywali. Nieraz ze łzami w oczach dziękowali mi za troskliwość, na którą sobie Jasio nie zasłużył i troskali się tylko, czém się za to wywzajemnić będą mogli, a nie wiedzieli, że wzajemności innej za to nieżądano prócz téj, któréj Zenia wymagała od Jasia.

Cały czas ten choroby Jasia przeszedł dość jednostajnie, aż dopiero po jego wyzdrowieniu przy końcu wakacji zaszły zdarzenia mocno zmieniające nasze stosunki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd literacki.

Krzyż a Miecz, pismo polityczno-literackie wychodzi w Poznaniu od 7. Stycznia 1850 r. Redaktor *E. Estkowski.*

Jestto, powiedzielibyśmy, pismo *miłości*, dziewiczej, czułej a oraz ognistej; witamy go jak wspólnika niegdyś radości, potem zawodów, potem bólów a teraz dobrych chęci naszych. Tylko sposoby uiszczenia chęci tych są inne; *Krzyż a Miecz* jest pismo pałające żywym młodzieńczym uczuciem, jaśniejące promienną wyobraźnią poety; nasze zaś nie może i nie pragnie być niczem więcej jak domową lampą przeszkadzającą zupełnemu zaćmieniu i skrzepnieniu ducha.—Wyznanie wiary religijno-politycznej tego pisma wyraża się najdobitniej w własnych jego słowach: „Polska królewska, „Polska magnacka, Polska szlachecka, przepadła na wieki „wieków! Od królów Bóg sam nas uwolnił, bo troista rasa „naszych królów wymarła ze szczętem, magnaterja zgniła „aż do szpiku przez własną podłość, szlachta nakoniec, co „jeszcze zachowała w żyłach kroplę polskiej krwi, zgasła „przynajmniej po polsku, to jest na polu bitwy. — — — „Cóż więc zostało z dawnej Polski?—oto prawdziwa jej treść, „istota i jądro narodu — lud, czyli Polska gminna — —Zaledwie wepchnięto nas do grobu, natychmiast zaczęliśmy „pragnąć, aby się z niego wydostać, szukaliśmy lekarstwa „na niemoc naszą, ale nie w nas samych — zapłaciliśmy za „nie okropnie drogo — ale lekarstwo było bez skutku—... „potępiam tylko lekarstwa, ale nie tych co je nam sprowadzili, bo zacne i święte były ich cele i chęci. Potępiając „ich, potępialibyśmy samych siebie, bo któż z nas wraz z ni„mi nie wierzył, nie przysięgał się, nie cierpiał?"

Gdzieindziej mówi:

„..posłannictwem Polski było wprowadzenie prawdy Chry„stusowej w życie, w stosunki *rodzinne, towarzyskie i na„rodowe*, ustała w tej pracy, zeszła z tej drogi i dla tego „upadła: wrócić na tę drogę powinna i musi... taka jest „wiara nasza, do tego dąży pismo nasze...."

W innem znowu miejscu mówi o sposobach i środkach dążenia swego:

„...słowa nasze dzisiejsze uważamy niejako za wiec do po„spolitego ruszenia nie ciał, wyraźnie mówimy *nie ciał, ale „duchów polskich*.... dalecy jesteśmy od wszelkich tajem„nych knowań, od wszelkich ruchów gwałtownych. Przy „ogólnej dzisiejszej tolerancji rządów dla wszelkich narodo„wości nikt nam za złe wziąść nie może, że chcemy w spo„koju i w obec wszystkich naradzać się nad obowiązkami „naszemi Polaka i chrześcjanina."

Niemożemy i niechcemy o tem rozprawiać, czy pojęcia o posłannictwie narodu nie są za ogólnie wyrażone, czy niedość umiejętnie wyłuszczone i uzasadnione, bo *Krzyż a Miecz* „chce przemawiać nie do mędrców świata, ale do prosta„czków, chce unikać ciężko uczonych wykładów i tak pisać „aby go zrozumiał każdy kto czytać umie." — Zapewne że między czytaniem a czytaniem, umieniem a umieniem jest różnica, nareszcie są i prostaczkowie na świecie, których świat nie ma bynajmniej za takich, a których nazywa poetami, filozofami i t. p. Dla takich jest barwne i poetyczne przedstawienie zawsze przynajmniej powabne, chociaż trzeźwe i treściwe wyłuszczanie rzeczy, niejest bynajmniej zbyteczne.

Tyle co do formy, o treści tu mówić nie możemy.

Korespondencja literacka.

Przegląd poznański zawiera w II. zeszycie z r. 1849 na czele list V. *o rządzie i prawodawstwie polskiém*. Niemogę się tu zapuszczać w naukowy rozbiór tego listu, tém bardziéj, że je wszystkie razem kiedyś rozebrać wypadnie. Nadmienić jednak muszę, że mnie uderzyła jasność, a oraz zwięzłość wykładu; i radziłbym każdemu, który się chce bez wielkiej mozoły obznajomić z prawodawstwem i zawiadownictwem publiczném w Polsce, aby te listy czytał. Można z nich nietylko nabyć wiadomości o rzeczach przeszłych, ale wiele nauki na teraz i na przyszłość.

Artykuł „*Deputowani polscy w Berlinie*" jest smutnym obrazem walki nie jednego stronnictwa z drugim o zwycięztwo w łonie tego samego narodu, ale walki narodu przeciw politycznej zagładzie.

Cztéry obrazy Lenartowicza. „Jest miejscami prawdziwe natchnienie, jest trochę zmysłu artystycznego; jest nadewszystko szczęśliwa potoczystość stylu i łatwość wierszowania" — takie jest zdanie *Przeglądu poznańskiego*, z którém się zgadzam zupełnie. Zarzuca dalej Lenartowiczowi słusznie, iż miejscami grzészy trywialnością nawet nieco rubaszności zarywając, jakoż że jego poezje są często rymowną prozą.

Jednak ani wybór „*wiadomostki lub anegdotki z gazet*" ani „*napisanie wiersza z byle jakiéj powszedniéj przygody*" nie poczytujemy p. Lenartowiczowi za błąd, tylko to, że *powszednie* przedmioty *powszednim* przedstawia sposobem. Bo geniusz poetyczny potrafi najpowszedniejszy przedmiot uzacnić znakomitością formy. Wszakże i Mickiewicz opisywał wojskową paradę w Petersburgu i zmarznięcie służalca z płaszczem na ręku, przedmioty dość powszednie, a jednak nie jest to poezja *powszednia*.

Niemożna Lenartowiczowi odmówić plastyczności, t. j. przedstawienia przedmiotu tak, iż zdajemy się go widzieć, jednak niebraknie ustępów rażących zaniedbaniem formy lub powszednim bardzo pomysłem, albo użyciem w prawdzie niezwykłych, ale też i niestosownych składów; n. p.

Lesi Lechitowie
Trzęśli brodami....

albo: To brzmi w organy katedra wysoka,
To jęczy ścierwo ożywione smoka,
To z trumien głuche westchnienia i rady,
I ja to słyszę stojąc w grobach blady....

Obraz trzeci pod tytułem „*Wrogi*" zdaje mi się być najlepiej uchwycony, może nie całkiem prawdziwie, może tro-

chę uszczypliwie, ale i dowcipnie opisany i żywo ubarwiony. *Przeglądowi* się niepodobał, *de gustibus non disputandum*, może ze stanowiska polityki dla tego, bo magnatów w złém świetle przedstawia, ależ on pawiada:

Milczeli panowie — poczciwi panowie.

Są i w tém usterki podobne jak wyżej przytoczony, nareszcie zakończenie nie zbyt dowcipne, ani wzniosłe, ani piękne.

Sybir, obraz czwarty najwięcéj ma słabych stron, wszelako zawiera bardzo żywo kolorowane obrazy, n. p.

Wtém naraz powstanie
Płacz i narzekanie,
Z bólu ryczą wściekle
I młoty rzucają,
Wnet ognie błyskają
Zupełnie jak w piekle —
Przy ogniu wróg luty
Bagnety i knuty.

Albo następna powieść, której dla żywości ubarwienia usterki stylu chętnie się wybacza:

Był na osiedleniu
Polak jak ja oto,
Umarł i zostawił
Swą córkę sierotą;
Z tą się ożeniłem,
I na stepach żyłem.
Lecz los zajrzał tego,
Bo razu jednego,
Gbym puścił się w śniegi
Na zaspy ze psami,
Tymczasem na brzegi
Niedźwiedzie tłumami
Wybiegły — słyszałem
Jak w górach ryczały,
Na żonę wspomniałem,
Włosy mi powstały:
Biegnę, w tém psy stają
I strasznie szczekają;
Spojrzę: aż tą stroną
Z mordą pokrwawioną
Za lody z daleka
Zwierz srogi ucieka.
O Boże! cierpienia
Ileż w człeka bije!
Wchodzę do przedsienia,
Patrzę, pokrwawiona
Moja droga żona
Niestety nie żyje,
Oczy wydrapane
Ciało rozerwane.

Opisanie zorzy północnej także zaleca się żywością ubarwienia.

Co do związku i zaokrąglenia w artystycznym układzie, to usprawiedliwiają *cztery obrazy* zdanie *Przeglądu*, iż to są tylko ułamki „*rozczynione farby do obrazów, kolory, z których pełniejsze natchnienie i dojrzałość talentu może kiedyś świetną całość utworzy.*"

Oby się te nadzieje spełniły; ja większej dojrzałości także się spodziewam, ale co do „*pełniejszego*" natchnienia to, jeżeli się p. Lenartowicz już teraz minął z niem, wątpię aby go później znaszedł.

Prócz tego zawiera ten zeszyt *Przeglądu* rozbiór kilku bardzo ważnych dla nas pism o których oddzielnie mówić wypadnie, poezje p. *F. Olizarowskiego*, które po różnych zeszytach *Przeglądu* rozsypane wszystkie razem pod krytykę wezmę, i krytykę kilku broszur jeszcze w roku 1848 wyszłych. Między temi jest: „*Stosunek polityczno-religijny Rusi do Polski* i t. d. *w Krakowie*. Godne uwagi jest z powodu tej broszurki wyrzeczone zdanie *Przeglądu* o tej kwestji, które się prawie powtarza, w *Iszym liście sławiańskim* w IIIcim zeszycie, mianowicie co do tolerancji względem Ruszczyzny ze strony Polaków. Prócz tego autor mówi o jakiejś *unii* kościelnej między Rusią a Polską, w której upatruje zbawienie. Nie ma to być ani przejście od łacińskiego obrządku do słowiańskiego ani przeciwnie, tylko „*połączenie obu obrządków w jednym kościele, dokonane przez wiarę. Dowodem tego jest wspólny udział w św. sakramentach, spólność reprezentacji duchowej, spólność nauki.*" (Nie rozumiemy tej unji bez zjednoczenia).

Przegląd muzyczny.

W zawodzie muzyki, niemamy prawie żadnych *publicznych przedstawień*, prócz oper i to niemieckich. Dziwna jest rzecz, że u nas nie złożyła się dotąd opera polska, pomimo tego, że liczymy wiele nawet niepospolitych *prywatnych* talentów do spiewu, pomimo tego, że niemasz prawie domu polskiego, gdzieby córka syn, lub nawet matka albo ojciec wcale niebył muzykalny.

Niechcemy w to wchodzić, czy przyczyną tego jest obojętność dla artystycznej oświaty, lub dla oświaty w ogóle, która się u nas innym kunsztom, a nawet literaturze uczuwać daje: czy fałszywa duma i wstyd występowania publicznie — czy brak rzeczywisty znakomitych talentów w tym zawodzie — dosyć jest, że musimy zrobić to smutne wyznanie: *niemamy polskiej opery*. W naszym teatrze grywają opery po niemiecku, a jeżeli się czasem pojawiła spiewaczka zakrawająca na Polkę, to musiała spiewać po niemiecku bo niemiała towarzyszy.—

Czy Administracja teatru starała się o polską operę, czy jej nieznalazła — czy znaleść niechciała?— Niemając więc

polskiej, musiemy wspomnieć o niemieckiej operze, a gdy nas wykonawcy tejże mniej obchodzą, więc wspomniemy w sposób który może jaki taki pożytek przynieść dla polskiego muzycznego koła.

Będziemy więc mówić więcej o kompozycji niż o wykonaniu.

Najpierwej zwraca naszą uwagę przedstawione niedawno arcydzieło Rossiniego: *Wilhelm Tell.*

Rossini napisał tę operę, aby przywieść do milczenia niemieckich krytykastrów, którzy mu zarzucali, jakoby on niebył w stanie komponować klasycznym stylem.

Ale cóż oni nazywają klasyczną muzyką?

Oto muzykę ułożoną podług wszelkich reguł harmonji, chociażby melodja była powszedniejszą niż: *Anioł mi się zjawił*— w *Hugenotach*. Tymczasem dziś jeszcze trudno powiedzieć, która muzyka jest klasyczną, bo ona się znajduje po dzis dzień w tém stadjum rozwoju, w którém było *malarstwo* przed *Annibalem Caracci*, pomimo tego że już miało swojego *Leonardo da Vinci*, *Rafaela* i mistrzów szkoły weneckiej.

Włosi na przykład, których zdanie jest przeważne w muzyce, zarzucają wszelką muzykę, w której nie przeważa melodja, ta iskra niebios. Dla tego mistrzowie włoscy bardzo lekce ważą wszelkie tak zwane szkoły, czyli raczej metody muzyczne. Dla tego *Rossini* powiedział *Byronowi* niemal impertynencją, gdy ten mu wyjawił swoje podziwienie— rzekł bowiem:

„Pedanci cudzoziemscy zarzucają mi, jakobym ja nieumiał pisać podług reguł, ale gdzież są te reguły? *Homer* pisał Iljadę nim ustanowiono reguły dla epopei, a w muzyce niestety jeszcześmy niemieli *Homera*".

A pisząc *Wilhelma Tell* rzekł: «Chcę aby się tu wszystkie szkoły znalazły“.

I dotrzymał słowa. Bo w pierwszych dwóch aktach panuje tak zwana niemiecka metoda, bez uszczerbku wszakże melodji, ale znajdujemy tam wszystkie metody, które się dotąd pod imionami pewnych narodów pojawiały. I z tego czynią mu zarzut, że Wilhelm Tell niema znamienia jednej szkoły wyłącznie; a jednak od czasu Wilhelma Tell nieśmie Rossiniemu nikt zaprzeczyć pierwszego miejsca między kompozytorami oper. *Bellini* bowiem komponował tylko *opere serie*, *Majerbeer* próbował w prawdzie komponować i komiczne opery ale, wkrótce się zwrócił do poważnych, w czém do zdumiewającej doszedł wysokości. I to Majerbeerowi za zasługę policzyć wypada, że poznał swoją nieudolność do tego niemal najtrudniejszego rodzaju kompozycji (oper komicznych). Tu bowiem trzeba nadewszystko łagodnej, wesołej, pieszczotnej melodji, a gdy do tego niema talentu, najłatwiej popaść w muzykę trywialną, jak *Ricci* w swojej operze „*Scaramuccia*".

Rossini zaś pisał z równym talentem *Wilhelma* i *Cerulika*, *Mojżesza* i *Włoszkę* i t. d. Z tego względu najbliższy jest Rossiniego naśladowca *Donizetti*, który zkomponował „*Lucia*" i „*l'Elisir d'amore*", „*Lucrezia*" i „*Don Pasquale*“.

W wykonaniu tej opery należy pierwszeństwo p. *Erl*, panna *Nej* podobała się choć miała małą rolę; p. *Wachter* przewyższył oczekiwanie, reszta spiewali miernie i jeszcze mniej niż miernie. Opera ta byłaby lepiej wypadła, gdyby role były lepiej podzielone, ale zdaje się, jak gdyby Dyrekcja opery miała wiele sił do przedstawienia któremi rozrządzać albo niemoże albo niechce.

Niechcemy wyrokować czyja w tém wina, czy Administracji czy Dyrekcji, ale to pewna, że często zdaje się jakoby się w wyborze sztuk i podziale ról więcej stosowano do jakichś zakulisowych względów, niż do zdolności aktorów i gustu publiczności.

Poezja.

(*Fragment.*)

. . . . to ten Belizary
Co pobił liczne a groźne sąsiady,
I do swych wozów poprzykuwał cary,
Czyniące w zachód mordercze napady;
On ubespieczył pobladłe narody,
Ich sprawy w sercu położył za swoje,
A dając słabym rękojmię swobody
Rzucił im do nóg buńczuk i zawoje.—
Justynian zląkł się i wodza oślepił;—
I tylko dziewcze, pół-anioł na róży,
Śród błędnej wiedzie rycerza podróży.....
Lecz oto u nóg dziewczęcia się czepił
Wąż jadowity, i dziewcze upada.....
Belizar dziewcze na ręce układa
I idzie dalej;— a któż się zadziwi
Jeżeli ślepy swe drogi pokrzywi?...
Jeśli o drzewo lub głaz się uderzy,
I w jakieś bóstwo wyśnione uwierzy,
Co z ciemnej głębi jego duszy spłynie
Chwilę zabłyśnie — i jak mara zginie—?....

Z. K.

Doniesienia literackie.

Nakładem K. Wilda wyjdzie w krótce z druku *Jerzy Lubomirski* dramat *K. Szajnochy*. Drugi dramat tegoż autora *Marja Mniszchowna* drukuje się w Poznaniu. Nieomieszkamy zdać o obudwóch sprawę w naszém pismie.

Dramat *Gutzkowa: Uriel Akosta*, przerobiony po polsku przez *M. Bołoz Antoniewicza*, będzie w przyszłym tygodniu po raz drugi przedstawiony na tutejszej scenie.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.